

Stan wojenny – stan codzienny

Zrobila uczenica 2 TE klasy

Elmira Safarova

Stan wojenny – jeden ze stanów nadzwyczajnych, polegający na przejęciu administracji przez wojsko. Stan ten może być wprowadzony przez rząd danego kraju w celu przywrócenia porządku publicznego w wypadku takich zdarzeń jak zamach stanu czy w celu zdławienia opozycji politycznej.



Stan wojenny w Polsce

Stan wojenny w Polsce w latach 1981–1983 – stan nadzwyczajny wprowadzony 13 grudnia 1981 roku na terenie całej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, niezgodnie z Konstytucją Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Został zawieszony 31 grudnia 1982 roku, a zniesiono go 22 lipca 1983 roku.



Kto wprowadził stan wojenny

Stan wojenny wprowadzono na mocy podjętej niejednomyślnie uchwały Rady Państwa z dnia 12 grudnia 1981 roku, na wniosek Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego – tymczasowego, niekonstytucyjnego organu władzy, a faktycznie nadrzędnego wobec konstytucyjnych władz państwowych.



Zima 1981

Pierwsze tygodnie stanu wojennego – zima, śnieg, brak większości gazet, brak telefonów, zamknięte kina, teatry, biblioteki i muzea, brak benzyny, ferie w szkołach i na uczelniach, ograniczenia w poruszaniu się po kraju – te pierwsze tygodnie uformowały sugestywny obraz przywoływany do dziś we wspomnieniach, na fotografiach, w filmach dokumentalnych. Obraz ten naznaczony jest doświadczeniem traumy, wytworzonej przez nagłość sytuacji, wojsko na ulicach, brak wiarygodnych wiadomości, zniknięcie tysięcy osób.



Życie tych czasów

Ocet na półkach – tak zapisał się stan wojenny w powszechnym wspomnieniu. Rzeczywiście, zwłaszcza rok 1982 był bardzo zły jeśli chodzi o zaopatrzenie sklepów. Nie było to doświadczeniem nowym. Stan wojenny spadł na kraj wymizierowany, o rozstrojonej codzienności, kraj, w którym zdarzały się marsze głodowe, a propaganda rządowa straszyła tragiczną konfrontacją. Od pięciu lat mieszkańcy Polski żyli w pogłębiającym się kryzysie, od dwóch – brakowało na co dzień podstawowych towarów.

Dystrybucja i kontrola wydawała się zresztą główną metodą zapanowania nad chaosem. Brakowało bowiem niemal wszystkiego. Tłumy gromadziły się przed sklepami, gdy „rzucano” herbatę i kawę, masło i wędliny, cukier i czekoladę, proszek do prania i pastę do zębów. System kartkowy nie wystarczał, by uregulować popyt i podaż, wprowadzono więc zasadę rejestrowania kartek tylko w jednym sklepie. Nie dość wprawni w „robieniu łokciami”, nie korzystający z „dojść” i znajomości, nie posiadający walut obcych – zadowalać się musieli w najtrudniejszych miesiącach stanu wojennego masłem roślinnym, proszkiem do zębów, kawą zbożową, szarym mydłem.



Pustki na półkach sklepowych, kartki, przaśne towary, wśród których „rzucone” niskiej jakości wędliny czy nadpsute pomarańcze były rarytasami, kontrastowały z rozszerzającym się, bezwstydnie jawnym, choć ciągle „czarnym” rynkiem alternatywnym. Mimo powtarzanych i propagowanych akcji zwalczania spekulantów, mimo reportaży telewizyjnych, w których pokazywano skonfiskowane dobra i ułożone w wachlarzyki dolary czy marki zabrane czarnogieldziarzom – alternatywna gospodarka kwitła, ukazując ogromne rozwarstwienie społeczne.

Mąka 1000 g XI 82	Cukierki 250 g XI 82	Cukier 500 g XI 82	Cukier 1500 g XI 82	Papierosy 6 pacz. XI 82
P. zbożowe 1000 g XI 82	W. Z. Nr P-3 nazwisko i imię adres: gmina-miasto-dzielnica			Papierosy 6 pacz. XI 82
Proszek 200 g XI 82				Alkohol 1 but. XI 82
Proszek 100 g	R-PIII 10	Tłuszcze 375 g	Czekolada 100 g	R-PIII 20

Ceny na warszawskim bazarze przy Polnej, na którym „było wszystko”, powodowały skurcz u przeciętnego mieszkańca stolicy. Obrót walutami pod hotelami czy oddziałami PKO był widoczny dla każdego. Posiadacze walut czy „bonów towarowych”, zastępujących dolary, mogli zresztą robić zakupy w państwowych sklepach Pewex. Leżały tam, odgrrodzone ladami i niechętnym spojrzeniem ekspedientek, najprawdziwsze czekolady, puszki słonych orzeszków, pakowa próżniowo kawa naturalna i inne używki.



Kupienie konia na biegunach, sanek, rowerka stało się ogromnym wyzwaniem. Istniały trudności o znacznie istotniejszym wymiarze egzystencjalnym, przynajmniej z perspektywy rodziców. Niekończących się zmartwień przysparzało im zaopatrzenie dzieci w odzież i obuwie. Kwitła wymiana używanych dóbr w rodzinach i wśród znajomych, nie tyle z powodu oszczędności, ile absolutnego braku w sklepach a to zimowych butów, a to kombinezonów, a to trampków. Rozwijać się musiały zdolności do robienia na drutach czapek, rękawiczek i swetrów, przerabiania płaszczyków, reperowania domowym sposobem zabawek. Gigantyczne kolejki ustawiały się po rzadko przywożone do sklepów odżywki dla dzieci i mleko w proszku. Zdobycie wózka dzieciennego było niezwykle trudne nie tylko z powodu braków rynkowych, ale i obfitości – narodzin.

Niski poziom usług, zaopatrzenia, infrastruktury miast, pustynie nowych osiedli mieszkaniowych, degradacja „niczyjej” przestrzeni publicznej – wszystko to skłaniało do spędzania czasu w domu, skupiania się na jego urządzeniu, na telewizji. Zjawisko nazywano domatorstwem. Lata stanu wojennego mogły mu tylko sprzyjać. „Udomowienie” codzienności wiązało się z odstręczającym charakterem przestrzeni publicznej, zarówno w sensie politycznym, jak materialnym. „Ulica przestała istnieć. Ulica umarła. Brnę przez zeskorupiałe grudy śniegu, rzadkie lampy nie rozpraszają ciemności, mruga samotna jarzeniówka pustej wystawy.



Wszystkie wady socjalistycznego hiperuprzemysłowienia występowały na plan pierwszy, zatruwając życie codzienne. W znaczeniu dosłownym. Podobnie jak w innych krajach „demokracji ludowej” gwałtownie pogarszał się stan naturalnego środowiska. Miasta wypełnione kopiącymi autobusami i dwusuwowymi autami osobowymi, opalane w dużej mierze węglem, otoczone fabrykami wypuszczającymi w powietrze niefiltrowane wyziewy i do rzek nieoczyszczzone ścieki (Warszawa była jedyną, obok Tirany, stolicą europejską pozbawioną oczyszczalni) – stawały się obrazem ostrego kryzysu cywilizacyjnego. Wielkie uprzemysłowienie, dające od lat pięćdziesiątych szansę na masowe zatrudnienie i awans społeczny, zatruwało teraz życie także w sensie przenośnym.

Warunki pracy w przemyśle były bardzo złe, wytwarzane zaś produkty na ogół niskiej jakości, nie nadające się na eksport, nie przynoszące więc i oczekiwanych dewiz, i satysfakcji twórcom. Dojazdy do pracy pochłaniały ogromną część dnia, zarówno między wsią i miastem, jak w obrębie miast, a stan taboru pogarszał się. Migracje wewnętrzne, będące zwykle sygnałem nadziei na odmianę losu, w zasadzie ustały. Ludzie „okopali się” w swych miejscowościach i mieszkaniach, nie widząc szansy na zmiany – był to objaw rezygnacji, zwłaszcza że rosła tylko liczba chętnych na migrację ostateczną, czyli wyjazd z Polski.

Czy w życiu codziennym stanu wojennego nie było jasnych stron? Być może jedną z nich sugeruje wspomniany już ówczesny baby-boom, nagły przyrost demograficzny (który zostawiał jednak nader często okropne wspomnienia z oddziałów położniczych). Inną dostrzegali przyjezdni z Zachodu: odkrywali oni kraj, w którym ludzie wciąż jeszcze „mają czas”. Nie mierzyli, oczywiście, czasu traconego przez mieszkańców PRL w kolejkach i zatłoczonych autobusach; jeśli natomiast dostąpili długich biesiad i „nocnych rozmów”, jeśli poznali aurę spotkań prywatnych, organizowanych często ad hoc i zabarwionych akcentami opozycji politycznej, łatwo im było ulec romantycznej wizji ówczesnej Polski. Owo zacieśnienie więzi rodzinno-przyjacielskich wspominane było także z nostalgią przez wielu Polaków po 1989 r. W realiach stanu wojennego każda pomyślna wiadomość, otrzymana z zagranicy paczka, udany zakup – nabierały znaczenia nieznanego w „normalnym” świecie. Wyrazistość podziałów politycznych i wartościowań moralnych tamtego czasu okazała się także – po latach – rodzajem utraconej wartości.

Dziękuję za uwagę